

**ODDAĆ GŁOS RZECZYWISTOŚCI.****Z prof. Wojciechem Kudybą rozmawia dr Maciej Woźniak**

**Dr Maciej Woźniak:** *Działa Pan na wielu polach – poezja, proza, praca akademicka. Kim dziś czuje się Pan przede wszystkim? Prozaikiem, poetą, naukowcem?*

**Prof. Wojciech Kudyba:** Tych ról jest tak naprawdę dużo więcej. Nie od razu też identyfikowałem się akurat z tymi, które Pan wymienił. Dorastałem do nich wiele lat, na każdą musiałem solidnie zapracować. Czasem zdarza się, że komuś życie przygotowuje jeden zawód i jedno miejsce pracy, ale to nie jest mój przypadek. Zawsze chciałem spełniać się zarówno w roli pisarza, jak i krytyka. Identyfikuję się z tymi dwiema rolami, obie są dla mnie równie ważne, byłoby mi bardzo trudno którąś z nich porzucić. Ks. prof. Pasierb, pracownik ATK, którego twórczością kiedyś się zajmowałem, pisał, że bywa traktowany z podejrzliwością zarówno w gronie literatów (z powodu swego zaangażowania naukowego), jak i w gronie naukowców (ze względu na twórczość literacką). To było jednak dość dawno temu, w latach osiemdziesiątych. Dziś wielu profesorów ATK (obecnie UKSW) zajmuje się twórczością literacką, więc moje podwójne życie raczej nikt na naszym kampusie nie dziwi.

**M.W.:** *Ostatni tom Pana opowiadań, zatytułowany „I co dalej” został wyróżniony nagrodą im. Marka Nowakowskiego. Pojawiają się w tym zbiorze obrazy codzienności, ludzkie sprawy i zwykłe, nieraz wręcz błahe sytuacje – często stanowiące wyjście do refleksji nad problemami wyższego rzędu. Przypomina to Pana poprzedni zbiór opowiadań „Kamienica”, ale też przypomina Nowakowskiego, który czynił to samo – poczynawszy od „Tego starego złodzieja”, a skończywszy na prozie wspomnieniowej w rodzaju „Powidoków”. Na ile Pana taktyka pisarska*

*to rozmyślne podążanie ścieżkami wytyczonymi przez Nowakowskiego, a na ile jedynie intuicyjna inspiracja?*

W.K.: Pewnie podczas gali nagrody tego nie powiem, ale teraz mogę: Marek Nowakowski nie był mistrzem mojej młodości. Do fascynacji jego twórczością szedłem krętą drogą. Jak zwykle w takich przypadkach decydującą rolę grały zdarzenia i przeżycia, które mnie kształtowały. Jednym z nich stała się praca w Warszawie. Jest we mnie ogromna potrzeba przyswojenia sobie warszawskich przestrzeni, związania ich z moim własnym życiem. Od 2008 r., czyli od kiedy pracuję w UKSW, potrzebuję zakorzenienia, dokopania się do ukrytych, symbolicznych warstw miasta, związanych z jego przeszłością. Zależy mi na przyswojeniu jego mitu i na tym, bym mógł powiedzieć, że to miasto jest częścią mojej biografii, a więc i mnie samego. Poszukując „duszy Warszawy”, nie tylko wędrowałem jej ulicami, nie tylko rozmawiałem z różnymi ludźmi (taksówkarzami, portierami i in.) ale też sporo czytałem. W pewnym momencie natrafiłem na wspomnieniową prozę Nowakowskiego – na *Powidoki i Nekropolis*, a potem na *Okopy Świętej Trójcy* – książkę, której podtytuł brzmi: *Rozmowy o życiu i ludziach. Z Markiem Nowakowskim rozmawia Krzysztof Świątek*. Lektura tych książek stała się dla mnie doświadczeniem iluminacyjnym.

M.W.: *Olśnienie prozą życia? Przemijaniem? Nostalgia?*

W.K.: Nie, nostalgią na pewno nie, ale dawnym życiem skrytym pod powłoką obecnej Warszawy – jak najbardziej. Opisy stolicy PRL – barwne, sugestywne – odblokowały ukryte we mnie dawne obrazy, oglądane zachwyconymi oczami dziecka. Zupełnie o nich zapomniałem, a wspomnienia Marka Nowakowskiego sprawiły, że one nagle stanęły mi przed oczami w całej jaskrawości. Moja siostra studiowała na Politechnice Warszawskiej, gdy chodziłem do wczesnych klas podstawówki. Często zabierała mnie ze sobą do akademika w czasie ferii lub na początku moich wakacji. Pokazywała miasto. Kiedy zacząłem czytać późnego Nowakowskiego, nagle wróciły do

mnie rozmaite wspomnienia sprzed wielu lat i uświadomiłem sobie, jak wiele warszawskich przestrzeni jest wpisanych w moje dziecięce, inicjacyjne doświadczenia. Dzięki autorowi *Powidoków* zrozumiałem, że jakaś część mnie samego od dawna jest związana z Warszawą i że nie jestem tu kimś zupełnie obcym, nie muszę budować swojej warszawskiej tożsamości od zera. Marek Nowakowski stał się odtąd moim przewodnikiem po mieście. To był impuls, żeby przypomnieć sobie także wcześniejszą, fikcyjną prozę tego autora i żeby poświęcić jej trochę uwagi badawczej, bo jak dotąd nie napisano o Nowakowskim zbyt wiele. Przypuszczam więc, że obecność tego autora w nurcie moich zainteresowań naukowych i moich potrzeb egzystencjalnych stopniowo zaczęła się przesączać do nurtu aktywności pisarskiej. To wszystko dokonywało się jednak raczej w sferze podświadomości niż w obszarze działań racjonalnych.

*M.W.: Szukam wspólnego mianownika dla dotychczasowych pięciu tomów Pana prozy. Najpierw była przecież eksperymentalna powieść „Nazywam się Majdan” (2015), potem „Imigranci wracają do domu” (2018) – opowieści z pozoru odmienne od opowiadań z „Kamienicy” (2018) czy tomu ostatniego, a jednak mam przeświadczenie, że nie do końca. Czy one ostatecznie też nie są spojrzeniem na problemy zwykłych ludzi, choć z innych kręgów kulturowych? Nie wiem natomiast, jak w tym kontekście usytuować Pana historyczny fresk – czyli „Pułaskich”. A może szukanie swoistej dominanty tematycznej w Pana prozie to niewłaściwa droga?*

*W.K.: Sam też zadawałem i zadaję sobie podobne pytania, bo chyba każdy psiarz – a może nawet każdy człowiek – chce mieć poczucie, że jego dotychczasowa droga ma jakiś sens, to znaczy: jest w nią wpisana jakaś logika, jest w niej jakiś porządek, są w nią wpisane określone reguły, rządzą nią mechanizmy spójności. Nie chciałbym rozstrzygać tego, czy da się je zidentyfikować w warstwie tematycznej mojej prozy. Wolałbym powiedzieć raczej o tym, co jest głębiej – w warstwie sensów, które nie zawsze leżą na samej powierzchni tekstu. To dla mnie*

ważne, bo przecież dość długo budowałem moją pisarską osobowość przede wszystkim w obszarze liryki.

*M.W.: Jednak pomimo owego długotrwałego procesu konstruowania tożsamości poetyckiej zwrócił się Pan w stronę prozy. To jeszcze wzmacnia postawione wyżej pytanie – jak nazwać to spoiwo Pana twórczości – skryte, niejawne, trudno dostępne?*

**W.K.:** To, że w pewnym momencie porzuciłem poezję dla prozy, mogło wyglądać na próbę samobójczą. A nie było nią, bo miało ważne, racjonalne przesłanki. I to właśnie one – tak myślę – są zasadniczym spoiwem wszystkich moich prozatorskich tomów. Jako poeta debiutowałem przecież tuż po 1989 r. Mówiono wtedy, że pojawiają się nowi skamandryci, ci którzy na wiosnę chcą zobaczyć wiosnę, a nie Polskę itp. Ten pokoleniowy ruch w stronę prywatności był mi do pewnego stopnia bliski. Starłem się tę prywatność rozumieć na swój sposób – jako liryczność i duchowość. Pamiętam, że w czasie któregoś ze spotkań autorskich pewien krytyk zapytał mnie jednak o to, dlaczego w moich wierszach nie ma historii, a ja odpowiedziałem, że interesuje mnie wyłącznie historia zbawienia... Tak było... Ale potem przyszedł wstrząs.

*M.W.: Związany z historią, która nagle została spuszczone z łańcucha? Wstrząs moralny? Świadomościowy?*

**W.K.:** Wszystko to i jeszcze więcej. Najpierw nadszedł 10 kwietnia 2010 r. Spędziłem wtedy w Warszawie ponad tydzień, bo akurat przygotowywaliśmy dokumentację do akredytacji, a ja byłem wówczas Dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej. Właśnie dzięki temu mogłem uczestniczyć przez godzinę – wraz z prof. Tomaszem Chachulskim – w warcie honorowej przy trumnie śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Trudno było w czasie takiej godziny nie myśleć, że mit o końcu historii nie ma racjonalnych podstaw, a takie kategorie jak społeczeństwo, wspólnota, pamięć, tożsamość zbiorowa zaczynają nas dotyczyć osobiście. Potem w 2014 r. przyszła inwazja rosyjska

na Ukrainę. To wszystko skierowało moją pisarską wyobraźnię na zupełnie inne tory, otworzyło we mnie uśpione pokłady wrażliwości społecznej, ale też skłoniło do poszukiwania nowego języka, bo ten prywatny i liryczny, którym dysponowałem dotąd, nie był w stanie udźwignąć dramatu, z którym trzeba się było zmierzyć. Podkreślę słowo „trzeba”, bo odczuwałem to i nadal odczuwam jako rodzaj moralnej powinności, od której nie powinno się uciekać...

*M.W.: I tak właśnie wkroczył Pan w swoim życiu na nieuczęszczaną dotąd ścieżkę prozatorską.*

W.K.: Na początku kluczyłem, szukałem formy – wyrazem tych zmagañ jest powieść *Nazywam się Majdan*, poświęcona właśnie sprawom tożsamości narodowej rodzącej się na kulturowym pograniczu polsko-ukraińskim. A potem była kolejna – *Imigranci wracają do domu* – która (jeśli odczytać ją jako wielką metaforę) opowiada właśnie o tym, jak można utracić i jak można odzyskać w sobie polskość. W jej horyzoncie pojawiają się pytania o to, jak wygląda nowoczesny kształt polskości i gdzie biją jego historyczne źródła. Z takich właśnie pytań wyrastają moi *Pułascy*. Zagłębianie się w XVIII w., poznawanie jego historii, w którą uwikłani byli bohaterowie tej powieści, skłania do refleksji dotyczącej tego, co moglibyśmy nazwać polskim losem...

*M.W.: A dwa tomy opowiadań? W jednym z wywiadów po otrzymaniu Nagrody im. Marka Nowakowskiego stwierdził Pan, że w swojej prozie chce Pan oddawać sprawiedliwość „szarym ludziom”, przeciętnym mieszkańcom Warszawy i okolic. To dowód uwrażliwienia na sprawy społeczne, a nie na problemy polityczne czy tożsamościowe...*

W.K.: To prawda. Kiedy jednak myślę o polskości, to nigdy nie zamykam jej w kategoriach politycznych. Wręcz przeciwnie. Dla mnie polskość jest właśnie czymś głęboko wrośniętym w tkankę społeczną; czymś, co tkwi w jej najgłębszych warstwach. Prowadząc kurs „Literatura polska po 1989 roku”, w pewnym momencie musiałem sobie zadać pytanie, co współczesna proza mówi o Polsce, jaki obraz naszego kraju

pojawia się na kartach powieści, które obecnie powstają. I musiałem też – choćby tylko na użytek moich zajęć – podjąć próbę poszukiwania odpowiedzi na to pytanie. Ważnych inspiracji dostarczyła mi także konferencja naukowa zorganizowana przez prof. Magdalenę Saganiak „Społeczeństwo polskie dziś” oraz tom pokonferencyjnych referatów. Stało się dla mnie jasne – podobnie jak dla wielu uczestników tego sympozjum – że wciąż istnieją rozległe „światy nieprzedstawione”. Że pewne wspólnoty, a nawet całe grupy społeczne nie uzyskały dotąd satysfakcjonującej reprezentacji w literaturze.

*M.W.: Czy możemy te kręgi społeczne jakoś nazwać?*

**W.K.:** Mówiono m.in. o tym, że poza zasięgiem pisarskich radarów pozostają dziś właśnie przeciętni Polacy – ci zwłaszcza, którym bez ich winy wiedzie się gorzej: samotne matki, ludzie starsi lub niepełnosprawni. Podkreślano, że niekiedy zarówno w publicystyce, jak i w literaturze grupy te podlegają swoistej stygmatyzacji, bywają zamknięte w krzywdzących stereotypach. Co więcej: niesprawiedliwość dotyka ich często nie tylko w literaturze, ale i w życiu. Trudno mi było słuchać tego wszystkiego bez emocji i bez refleksji etycznej. To właśnie wtedy postanowiłem poświęcić takim ludziom trochę więcej mojej pisarskiej uwagi.

*M.W.: Historie zawarte w „I co dalej?” wyglądają na wzięte wprost z życia – takiego, jakie nas otacza. Opuszczenie przez męża, budowa domu, kłopoty rodzinne, śmierć bliskiej osoby. Z takimi lub podobnymi problemami mierzy się w pewnym momencie każdy z nas. Czy wszystkie zawarte w zbiorze opowieści mają fundament w rzeczywistości, w zasłyszanych historiach? Czy składają się wyłącznie z tego, co zdarzyło się naprawdę?*

**W.K.:** Nie. Gdyby tak było, byłbym raczej reporterem niż pisarzem. Równie fałszywa wydawałaby mi się jednak także teza o całkowitej fikcyjności świata przedstawionego w tej książce i w pozostałych tomach mojej prozy. Fikcyjność to przecież nie to samo, co fikcjonalność.

W literaturoznawstwie to rozróżnienie przyjęło się dzięki pracom Jürgena Landwehra, a u nas swoistą ontologię fikcjonalności zaproponowała w jednym ze swych tekstów prof. Magdalena Saganiak. Odniesienia utworu literackiego do rzeczywistości pozajęzykowej mają po prostu – niech wolno mi będzie tak powiedzieć – charakter stopniowalny. Zależą od sytuacji komunikacyjnej, wpisanej w gatunek wypowiedzi, a więc są częścią specyficznej umowy pomiędzy nadawcą i odbiorcą. Prozę realistyczną Landwehr słusznie umieszcza w grupie utworów o najsilniejszej referencjonalności. Warunkiem poprawnego jej odbioru, a więc warunkiem dobrej komunikacji pomiędzy nadawcą i odbiorcą jest przekonanie, że są to teksty spójne z punktu widzenia odniesień do pojmowania rzeczywistości i nie naruszają zasady prawdopodobieństwa. Jednym słowem: moi bohaterowie to postaci fikcyjne, ale to, co im się przydarza, mogło się zdarzyć naprawdę; jest w stanie wytrzymać próbę weryfikacji z rzeczywistością pozajęzykową i rzeczywiście wytrzymuje, bo dramaty samotnych matek czy starszych ludzi tracących dach nad głową wciąż dzieją się naprawdę. Z całą pewnością natomiast zupełnie niefikcjonalne są fikcyjne przestrzenie, w których osadzam moje postaci. Zawsze staram się sprawdzić, jak wygląda miejsce, o którym chcę pisać. W przypadku *Pułaskich* było to bardzo trudne, bo nie mogłem pojechać ani do Baru, ani do Berdyczowa, ani do Okopów Świętej Trójcy, ani nawet do Savannah. W takich sytuacjach sporą pomoc wyświadcza nam Internet. W sprawie wielu realiów cywilizacyjnych korzystałem też z nieocenionych wskazówek prof. Krzysztofa Koehlera.

*M.W.: Tymczasem „Dom Tereski”, jedno z opowiadań w ostatniej książce, to zapis rozmowy. W którymś z radiowych wywiadów wspominał Pan, że jest Pan pisarzem „słuchającym”, że opowiadania z tego tomu mają oddawać realia codziennego języka, że narracja jest mocno nasączona dialogami i monologami postaci. Czy to „podśluchiwanie”, skupienie się na mowie, to wyłącznie efekt Pana inwencji, czy też znaczenie miały tu analogiczne konwencje literackie u innych autorów?*

W.K.: Chyba jedno i drugie. Nie mogę udawać, że nie czytałem *Pamiętek Soplicy* czy też *Pamiętnika z powstania warszawskiego* i że nic nie wiem o powieściach Wiesława Myśliwskiego. Podobnie jak Rzewuskiego, Białoszewskiego i wielu innych fascynuje mnie polszczyzna mówiona, interesują mnie konwencje literackie, dzięki którym jest możliwy przekład oralności na piśmienność. Spośród wymienionych autorów chyba najwięcej zawdzięczam Wiesławowi Myśliwskiemu. On sam powiedział mi wprawdzie, że moi *Imigranci wracają do domu* zupełnie nie kojarzą mu się z narracją w jego własnych książkach, ale według paru krytyków, których cenię, akurat w tej książce inspiracje prozą autora *Widnokregu* są dość wyraźne. Patrząc od strony procesu twórczego, mogę powiedzieć tylko tyle, że pisząc *Imigrantów*, miałem w głowie niepodrabialną frazę Myśliwskiego, którą starałem się na swój sposób przetwarzać. Wszystko to nie zmienia oczywiście faktu, że równie ważnym źródłem inspiracji jest dla mnie po prostu żywa mowa – strzępy rozmów podsłuchane w autobusie, fragmenty gawędy portiera lub taksówkarza, opowieści zasłyszane przy biesiadnym stole czy też w pociągach, w których czasem spędzam długie godziny. Nigdy tych fraz nie zapisuję. Jeśli zdarza się, że ich nie zapamiętam, uznaję, że nie były warte tego, by je zmienić w literaturę. Jeśli pyta Pan o inwencję, to najwięcej wymagała jej ode mnie powieść *Nazywam się Majdan*. W niej naprawdę musiałem wymyślić „nowy” język. Ni to polski, ni staropolski, ni ukraiński – bo taką właśnie rozmytą tożsamością dysponuje mój narrator. Natomiast *Dom dla Tereski* to raczej uboczny efekt rewolucji komunikacyjnej. Któż z nas nie był w tramwaju mimowolnym świadkiem konwersacji użytkowników telefonu komórkowego? Kto nie zarejestrował rozmowy, której wolałby nie słyszeć? Z takich właśnie doświadczeń wyrosło to opowiadanie...

M.W.: *Moją szczególną uwagę zwróciła nowela „Niech im świeci” i zawarta w niej polifonia głosów uczestników funeralnej ceremonii. Sytuacja zarysowana w tekście przypomina tę z „Wesela” Wyspiańskiego i „Wesela raz jeszcze” Nowakowskiego – obrzęd stanowi punkt wyjścia do prezentacji rozmaitych postaci i ukazania ich odmiennych sposobów patrzenia na rzeczywistość. Czy pogrzeb jest ciekawszy niż*



*wesele, mające w naszej literaturze wiele przedstawień? Jak rozumieć to osobliwe, bo dokonane niejako à rebours, nawiązanie do polskiej tradycji literackiej?*

W.K.: Wychowałem się w niewielkiej społeczności, mocno zintegrowanej – między innymi właśnie dzięki różnym obrzędom. Język religijnych rytuałów jest dla mnie czymś naturalnym, wyrastającym wprost z ludzkiej natury. Bliska mi jest myśl tych antropologów kultury, którzy uważają, że to właśnie obrzędy zaspokajają ludzkie potrzeby godności, sensu i przynależności. Niedaleko stąd do intuicji, że to właśnie w rytuale wspólnota odsłania samą siebie, mówi coś o swojej tożsamości i o swej potrzebie sensu w obliczu rozpadu więzi i wartości. Z takich intuicji wyrosło *Wesele* Wyspiańskiego, potem nowela Marii Dąbrowskiej *Na wsi wesele*, a wreszcie i wspomniane opowiadanie Marka Nowakowskiego. To są wspaniałe teksty. Trudno do nich cokolwiek dorzucić. Kiedy narastała we mnie potrzeba mierzenia się z polskością (o czym chyba już wspomniałem), w pewnej chwili przyszedł mi do głowy pomysł opisanego pogrzebu. Wcale zresztą niespontanicznie. Po prostu uczestniczyłem we Mszy żałobnej i to, co zobaczyłem oraz usłyszałem, było ważną motywacją do literackich działań. Nagle wyobraziłem sobie *Requiem* jako zbiorowy portret współczesnych nam Polaków, czy raczej portret ich podświadomości. Interesowała mnie nie tylko panorama społeczna, ale także – a może nawet przede wszystkim – panorama duchowa. Chodziło mi o to, żeby pokazać, jacy jesteśmy w konfrontacji z tak skrajnym doświadczeniem jak doświadczenie cudzej śmierci. Ten metafizyczny horyzont wydaje mi się w tym opowiadaniu najważniejszy.

M.W.: *Chyba nie dla wszystkich Pana czytelników metafizyczny puls Pana prozy jest wyczuwalny... Marek Nowakowski był określany mianem kronikarza Warszawy, czy nawet kronikarza peryferii. Oba te określenia wydają mi się zbyt wąskie, ograniczające egzystencjalną interpretację jego prozy. Czy nie reaguje Pan alergicznie na miano „kronikarza” prostej rzeczywistości? Pytam, bo z takim określeniem spotkałem się w publikacjach prasowych.*

W.K.: Nie, nie... Dorastałem w zdrowym środowisku, nie mam skłonności do alergii... Mówiąc zaś serio, po prostu nie wymagam od prasy zbyt wiele. Cieszy mnie już sam fakt, że ktoś w ogóle o mojej książce wspomniał, nie może nie cieszyć to, że *I co dalej?* miało prawie dwadzieścia recenzji. Literatura nie należy przecież do tematów z pierwszych stron gazet, trudno mieć o to do kogokolwiek pretensje. Warto też pamiętać, że szybki rytm wydawnictw prasowych nie sprzyja pogłębionym odczytaniom – skłania natomiast do poszukiwania w tekście takich znaczeń, które można łatwo odnieść do bieżących wydarzeń lub powiązać z tym lub innym dyskursem politycznym. Tym bardziej więc podziwiam tych recenzentów – a jest wśród nich m.in. prof. Dorota Heck, prof. Stanisław Gawliński czy ks. prof. Jerzy Sikora – którzy od razu zwrócili uwagę na wieloznaczność moich opowiadań, na ich semantyczną wielopiętrowość, obejmującą zarówno „kronikę” codzienną, jak i niecodzienną metafizykę. Nauczyłem się też tego (choć nie było to łatwe), by dawać swoim książkom trochę wolności – pozwolić im żyć własnym życiem wśród czytelników, wierzyć, że najlepsze, najgłębsze odczytania same się obronią. Pisarz ostatecznie nie ma dobrego mandatu do tego, by interpretować swoje własne książki. Jego powołaniem jest ich tworzenie...

M.W.: *Pisanie kolejnych książek – właśnie o to chciałbym teraz zapytać. W związku z tytułem Pana zbioru nasuwa się pytanie – co dalej? Jakie kolejne zadania Pan planuje?*

W.K.: Odpocząć... Wyleczyć oczy... Ostatnio pracowałem intensywnie. Być może zbyt intensywnie. Zbiór opowiadań, drugi tom powieści historycznej o rodzie Pułaskich, który właśnie się ukazał, trzy artykuły naukowe, kilka recenzji wydawniczych, wnioski grantowe – wszystko w ciągu trzech ostatnich semestrów. To musiało się źle skończyć. Ktoś ostatnio mnie zapytał, gdzie wyjeżdżałem na wakacje, więc musiałem odpowiedzieć, że... do kliniki. Chwilowo nie odczuwam żadnego przymusu tworzenia literatury. Przyszedł mi za to do głowy pomysł na monografię naukową i to właśnie nią będę się zajmował w najbliższym roku, a pewnie i w następnym. Chciałbym

wrócić do twórczości ks. Janusza Stanisława Pasierba, dręczy mnie parę spraw, o których nie zdołałem napisać w mojej dawnej książce, poświęconej jego poezji. Mam sporo rzeczy w notatkach. Zobaczę, czy da się z tego zbudować coś większego.

*M.W.: Pozostaje życzyć powodzenia i przede wszystkim zdrowia. Na koniec pytanie właśnie o refleksję dotyczącą budowy, tworzenia „czegoś większego”. Czy dziś mimo zmęczenia może Pan powiedzieć, że jest twórcą usatysfakcjonowanym, spełnionym? Czy też potrzeba odpoczynku nie zabija głodu tworzenia?*

W.K.: Czasem go osłabia, ale zabić raczej nie potrafi. Przynajmniej u mnie. Dotąd przez wiele lat towarzyszyła mi świadomość, że najlepsze rzeczy wciąż mam jeszcze przed sobą i na razie nic się w tym względzie nie zmieniło. Trudno mi powiedzieć, w którą stronę pójdzie moja proza. Jako pisarz raczej czekam, aż książka sama do mnie przyjdzie. Niczego nie potrafię przewidzieć. Po prostu będę czekał. A z badaniem jest oczywiście inaczej. Sporo można zaplanować. Czy jednak wszystko? Chyba nie do końca. Powiedziałem o Pasierbie, ale być może to będzie mała książeczka. Wiosną dostałem potężny impuls, żeby pomyśleć nad całkiem inną i teraz rozważam, czy mu się poddać, czy nie. Uczestniczyłem na Sorbonie (niestety on-line) w konferencji poświęconej twórczości zapomnianego mistrza francuskiej powieści katolickiej – Josepha Malègue’a. Mój referat został bardzo dobrze przyjęty, a potem jeden z recenzentów tomu pokonferencyjnego zaczął mnie namawiać do napisania książki poświęconej twórczości tego pisarza. Pokusa jest silna, ale zadanie wymaga ogromnego wysiłku. Na razie niczego więc nie przesądzam. W takich sytuacjach najlepiej jest oddać głos rzeczywistości. Niech ona zadecyduje, czy taka monografia ma powstać, czy nie.

## ROZMOWA

Prof. dr hab. WOJCIECH KUDYBA – kierownik Katedry Polskiej Literatury Współczesnej i Krytyki Literackiej na Wydziale Nauk Humanistycznych UKSW. Pisarz, poeta, autor siedmiu tomów wierszy i pięciu książek prozatorskich. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Komisji Etyki Słowa Polskiej Akademii Nauk.

Dr MACIEJ WOŹNIAK – literaturoznawca, krytyk literacki i filmowy, autor książek, artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz recenzji i szkiców poświęconych polskiej literaturze współczesnej oraz kinematografii. Pisał między innymi o twórczości Marka Nowakowskiego, Bronisława Wildsteina, Antoniego Libery i Krzysztofa Kuczkowskiego.